

CZŁOWIEK O 20 TWARZACH



Czekała, wciąż czekała...

Po 42 latach wrócił do kraju

Przez Chiny, Japonię i Jamajkę prowadziła droga do Wielunia

WZRUSZAJĄCA chwilę przeżyła Maria Idaczyk zamieszkała w Wieluniu przy ul. 19 stycznia. W mieszkaniu jej zjawił się sędziwy mężczyzna, który oświadczył, że jest jej mężem. Zaskoczona tym Idaczykowa oświadczyła, iż mąż jej nie żyje i wobec tego powrót jego jest niemożliwy. Wtedy przybysz podał jej za jej męża opowieść Idaczykowej, wszystkie szczegóły towarzyszące rozstaniu jej z zaginionym mężem. Opowiadanie ino oraz przedłożone dokumenty przekonały M. Idaczyk że przybysz jest istotnie jej mężem.

Ciekawe niezwykle były dzieje tego małżeństwa. Idaczykowie pobrali się w roku 1913 i po 2 tygodniowym pojeździe Idaczyk został wcielony do wojska carskiego. Służbę wojskową odbywał w Turkieście, skąd zawiercał i wojny światowej zapędził go do Chin, z Chin do Japonii.

Od 1913 roku do chwili wyjazdu do kraju Idaczyk przewędrował nie małe wszystkie kraje azjatyckie, dojechał do wielu wysp egzotycznych, miał niezliczoną ilość najrozmaitszych przygód, a ostatnio przebywał na Jamajce. Na Jamajce powziął decyzję powrotu do kraju, a podróż jego stamtąd do Wielunia trwała 11 miesięcy. Przez okres 42 lat Idaczyk kowale tylko od czasu do czasu korespondowali ze sobą a od kilku lat nawet korespondencyjnie nie porozumiewali się.

Idaczyka pamiętają w Wieluniu jedynie przedstawiciele starszego pokolenia, ale sąsiedzi i znajomi jego małżonki obecnie licznie odwiedzają ich mieszkanie słuchając nie kończących się opowiadań Idaczyka o jego wędrowkach i przeżyciach.

Wycinek ze „Słowa Powszechnego“

W dniu 5 stycznia 1956 roku szosa zwana „rudzka“ zbliżała się do Wielunia staruszek kaleka. Po drodze wstąpił do mieszkania obywatelki Marii Mory — tak rozpoczęła się prokuratorski akt oskarżenia w sprawie, którą można by nazwać: historia nowego wcielenia kapitana z Köpenick 1) i Cyniana Wielkiego 2).

— Strudzony jestem podróżą. Czy mógłbym u pani chwilę odpocząć? — zapytał grzecznie staruszek kaleka.

Maria Mora, kobieta około lat pięćdziesięciu, miła i gościnna, ze współczuciem spojrzała na wymęczoną twarz starca.

— Z daleka to, dziadku? — wyciągnęła z kąta drewniany stódek i podsunęła go bliżej pieca.

Staruszek wyjął z kieszonki papierosa, zapalał go wolno, z namaszczaniem.

— Z daleka idę. Z bardzo daleka — powiedział z wielką powagą — ale cel mej drogi już bliski.

Było południe. Na rozgrzanej kuchni bulgotała zupa, parowały ugotowane ziemniaki.

— Może obiad zjecie, dziadku? Smaczny, gorący — rzekła gościnnie, zauważywszy, że starzec nie widać jedną ręką.

— Oficerskie słowo honoru daję, że nie będę jadł. Dziękuję za grzeczność.

Zaczęła prosić, nalegać. Z daleka idzie, jest zmęczony, nie posili się, to z sił opadnie. Oficer? Miał na sobie wyszarzały mundur kolejarzki, ale iluż to ludzi los okrutnie przesładuje? Pewnie nawet na kolej nie ma, biedaczek, skoro pieszo wędruje. Nie wygląda na żebraka, bije od niego jakaś godność, nie przyjął obiadu, choć widać, że głodny. Cheiała go poczęstować papierosami męża, lecz również odmówił.

— Dokąd, panie, idziecie? — zapytała powtórnie.

Uśmiechnął się tajemniczo.

— W rodzinne strony wracam.

— Z daleka, panie?

— Z niewoli. Z Rosji. Z Kamczatki.

— Boże! — aż w dłonie klasnęła. — Z tyłego świata? Z niewoli? I dużo was wypuścili?

— Czterdziestu — mruknął niechętnie.

Teraz już wszystko rozumiała. I ten wyszarzały mundur, pieszka wędrowkę. Polski oficer, mój Boże! Jakaż to radość będzie w jego domu, gdy powróci. Może ma żonę, dzieci, braci? Przypomniały jej się opowiadania Marii Idaczyk, z którą w lecie pracowały na polu. Jej

mąż, Ignacy Idaczyk poszedł na wojnę w 1914 roku i ślad po nim przepadł. A przecież chyba żyje, bo w 1945 roku Idaczykowa dostała jakąś kartkę w obcym języku.

— A Idaczyka? Ignacego Idaczyka z Wielunia nie spotkaliście tam w Rosji? Czterdzieści dwa lata minęły jak go wzięli do carskiego wojska. Nie wrócił do tej pory. A żona czekała. Do dziś czeka...

Staruszek zakrył rękami twarz. Załkał. Potem rozplakał się głośno, żałośnie. Złapał ręce Marii Mory i począł je całować, że wzruszenia słowa nie mógł przemówić.

Marię Morę ułapilo coś za gardło. Wykrztusiła:

— To pan? Pan... jest Idaczyk? Ignac?

— Tak... — wyszeptał. Plakał.

Po drodze do mieszkania żony swej Idaczyk staruszek zdolał opanować wzruszenie. Maria Mora ani na krok od niego nie odstępowała, dumna, że to ona pierwsza może mu powiedzieć o żonie. Pytał ją pilnie, po gospodarsku, rzeczowo. Jak się wieszcie Idaczy-

kowej, ile ma ziemi, z czego żyje. Maria Mora opowiadała o jego braciach i siostrach. Wypytywał dokładnie. Maria pobięła przodem, aby zawiadomić Idaczykową o cudownym zmartwychwstaniu jej męża.

— Mario! Twój mąż wrócił z niewoli. Wrócił żywy! Wrócił! — wołała do Idaczykowej.

A staruszek najpierw pochylił się do progu domu, ucałował ziemię rodzinną. Później rzucił się żonie na szyję.

— To ja! Ja... Ignac!
Odpychała go od siebie. Odszedł przecież taki młody, piękny. Wrócił stary, zgrzybiały, z bezwładną ręką, kulawy. Czy możliwe, że to ten sam Ignac, którego żegnała przed czterdziestu laty?

Na starej pomarszczonej twarzy nie znać było żadnego rysu z tamtych lat, nie poznawała ukochanego męża. Ale czy i ona sama, Idaczykowa, nie zmieniła się? Przecież jest teraz starą, zgrzybiałą kobietą.

W oczach staruszka zjawiły się łzy, rozpacz.

— Odpychasz mnie? Odpychasz, bo wróciłem stary, kaleka? To ja, Ignac. Czterdzieści lat poniewierki tak mnie zmieniło... Brzydzisz się mną? Gardzisz? Dobrze. Pójdę, zdechnę gdzieś na polu, ale tobie nigdy Bóg i ludzie nie wybaczą, żeś nie przyjęła męża kaleki... Czy wiesz co ja wycierpiałem? Gdzie byłem, jakie meki mi zadawano? Wróciłem, aby umrzeć na rodzinnej ziemi. Wróciłem, a ty mnie wypędzasz?

— Ignac. Ignac... Mój Boże, ileś ty wycierpiał — kiwała głową Idaczykowa. I wydawało jej się, że wie już, dlaczego w tym starym człowieku nie ma nic z jej dawnego, młodego męża.

Z Komendy Powiatowej MO w Sieradzu rozsyłano po kraju wypisane na bibułce zawiadomienia: „W dniu 4. I. 1956 r. o godzinie 18 z Domu dla Dorosłych w Witowie, w pow. sieradzkim — zbiegł w nieznanym kierunku włóczęga, który uprawiał żebranię i postanowieniem Prokuratora Powiatowego w Sieradzu z dn. 31. 12. 55 r. był tam osadzony.

Rysopis: wzrost 1.75, lat około 50, ubrany w płaszcz kolejowy, czapka-cyklistówka, prawa ręka



Nigdy nie zapomniła o swym zaginionym mężu. Jego fotografia w mundurze carskiego żołnierza wciąż stała jej przed oczami.

bezwładna, jedna noga na biodrze uwypuklona do tyłu...

Po uliczkach powiatowego miasta Wielunia szybciej od Marii Mory dreptała wieść o cudownym powrocie Ignacego Idaczyka. Do mieszkania Idaczykowej peregrynowała najbliższa rodzina, sąsiedzi, znajomi. Pierwszego jednak wieczoru „zmartwychwstały“ Idaczyk nie chciał z nikim rozmawiać. Był zmęczony drogą i prawie zaraz położył się do łóżka. Długo gadał tylko z żoną, przypominając sobie chwile ich rozłąki — rozłąki czterdziestoletniej.

W następnym dniu największą łaskę znalazł u Idaczyka reporter ze „Słowa Powszechnego“, gazety posiadającej w Wieluniu swoją redakcję.

Nie trudno sobie wyobrazić rozmowę dziennikarza z cudownie

przywróconym Wieluniowi człowiekiem. Dowiedział się reporter od Idaczyka o jego podróżach po egzotycznych wyspach, o wędrowce przez Turkiestan, Chiny, Jamajkę, Japonię. Z zapartym tchem czytał potem cały powiat wieluniński tę nieco pompatycznym stylem zredagowaną informację:

„Przez Chiny, Japonię i Jamajkę prowadziła droga do Wielunia“.

Oczekiwano przyjazdu ekipy Kroniki Filmowej, która w całej Polsce na białych ekranach powinna pokazać twarz Ignacego Idaczyka. Lecz Kronika nie przyjechała. Wieluńskie drogi zawałił śnieg.

1) Afera szewca z Köpenick, który przywdział mundur kapitana armii pruskiej, dokonywał bezkarnie najdziałniejszych czynów, kompromitując przywileje kasty oficerskiej.

2) Cynian Wielki, sławny w dwudziestolecu międzywojennym oszust warszawski, który naiwnemu chłopu sprzedał Kolumnę Zygmunta, a także zebrał tor kolejki.

RYSZARD BRUDZIŃSKI

TRZCINA

Opodał jeziora
Rośnie sobie trzcina,
Ledwie wiatr zawieje —
Ona już się zgina.

Spójrzcie na jej kibić
Wysmukłą i gładką!
Krzewom taka kibić
Przydarza się rzadko.

Ku niebu strzeliście
Przeży swoje wdzięki
I gnie się, bo biedna
Kręgosłup ma miękki.

Kłania się z podmuchem,
Kładzie się na wietrze,
Więc jej żaden wicher
Z powierzchni nie zetrze.

Trwała jest ta trzcina
I gęsto wyrasta
Po gromadach, po wsiach,
Czasem w środku miasta.

Przetrwała czas wojny
I czas okupacji —
Ciekawym czy przetrwa
Czas weryfikacji.

Zwycięzcy konkursu - ankiety na tytuł

Łódzkie Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ komunikuje, że na ogłoszony w listopadzie ub. roku konkurs-ankietę na tytuł nowego tygodnika łódzkiego wpłynęło ogółem 3.856 odpowiedzi. W ankiecie tej zdecydowaną większość głosów, bo 2.741 uzyskał tytuł „ODGŁOSY“, który został ostatecznie przez wydawnictwo przyjęty.

Wśród 2.741 zwolenników tytułu „Odgłosy“ rozlosowane zostały zgodnie z zapowiedzią 3 nagrody po 500 zł. W wyniku losowania, które odbyło się przy udziale przedstawicieli EWP „Prasa Łódzka“ i kolegium nowej redakcji, nagrody te otrzymują:

1. JAN CHRZANOWSKI, wieś Księstwo, poczta Aleksandrów, pow. Łódź
2. ELŻBIETA KORYCKA, Łódź, Bystrzycka 1 DS
3. MARIA MIELCZAREK, Łódź, Grzybowska 4 m. 5.

Wymienieni zwycięzcy konkursu proszeni są o osobiste zgłoszenie się po odbiór nagród do redakcji „ODGŁOSOW“ (Łódź, Piotrkowska 96, III p.) w dniu 3 marca br. w godz. 12—13.

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część reportażu o „zmarłychwstańcu” w Wieluniu.

CZŁOWIEK

O 20 TWARZACH



Fotografował Eduard Eiter

„...leluu przesywał „wielkie dni” Zaginiony przed 42 laty i uznany za umarłego, Ignacy Idaczyk, nagle „zmarłychwstał” i niespodziewanie zjawił się na ulicach rodzinnego miasteczka. Przyjęło go tu radośnie, z zachwytem. Jak przytętało na gród w którym jest kilka uliczek i aż 5 kościołów i gdzie od setek lat wpaja się ludziom przekonanie że Opatrzność ingeruje w każdy postępek człowieka i nie się nie dzieje bez „woli Bożej”. W niespodziewanym powrocie Idaczyka był więc posmak niecodziennosci i ingerencji sił nadprzyrodzonych. Jego „zmarłychwstanie” podzielało na wyobraźnię ludzką przyoblekając go w barwy romantycznej legendy.

Uznała przybylsza za swego męża — Maria Idaczyk, siedemdziesięcioletnia staruszka. Uznała go, choć nieufność nigdy w niej zupełnie nie zgasła. Jak opowiada dziś — „uznałam go, bo i bracia go rozpoznali siostra, bo wszyscy mówili, że to mój mąż”. Na rozprawie sądowej oświadczyła:

„...Żadne wewnętrzne przekonanie nie wskazywało mi na to, że on jest moim mężem. Nie widziałam w nim męża i czułam do niego wstręt. Nie chciałam jednak, aby ludzie myśleli, że nie przyjąłam go dlatego, że wrócił stary, chory kaleka”.

W tych słowach kryje się cały sens postępowania Marii Idaczyk, żony „zmarłychwstańca”. Wystarczy zażreć do tej lżełki pełnej lkon krzyży, schludnej czystości i pobożności — aby zrozumieć, że ta stojąca już nad grobem kobieta przęntędy nie wzięłaby na siebie ciężaru nieprzewidywalnej opinii miasteczka. Odepchnąć przybyłego, wypędzić go — i żyć potem nawet z cieniem wątpliwości, że może jednak to był on, jej mąż? To byłoby ponad jej siły.

Miał twarz wyrawnego spryciarza, lisi uśmiech i jakąś ordynarnosc w zachowaniu się. Nieustannie żądał wódki, a okazji do picia nie brakowało. Czy bez kieszonki może się u nas obyć tak szczęśliwy powrót? Z otwartymi ramionami przyjmowali „zmarłychwstańca” jego sąsiedzi, bracia, krewni i nierządki na ulicach Wielunia widziano kuśtykającego staruszkę otoczonego gromadką innych staruszków, jak wędrował z jednego krańca miasteczka na drugi, od jednej knajpy do drugiej.

Sluchano go z uszanowaniem, ba, z zachwytem. Był przecież człowiekiem, który nie tylko wyjrzał za rogatki Wielunia, ale przedwędrował „tyli świat” — Chiny, Rosję, Jamajkę. W opowiadaniach jego niekiedy to i owo jakoś nie pasowało — ale jakże zawodna jest pamięć ludzka? Niekiedy było w tych opowiadaniach coś „niepolitycznego”, ale w ówjej dobie jednemu na rękę były podobne wypowiedzi, inny zaś wierzył w wrodzoną naiwnosc lub głupoty. Tylko w notatkach funkcyjnarjuszy MO pozostały z tych dni króciutkie relacje:

„Ob. Ignacy Idaczyk, który powrócił do Wielunia, wyraża się wrogo o naszym ustroju i o ZSRR...”.

„Ob. Ignacy Idaczyk prowadził rozrzutny tryb życia, pije wódkę i wypowiada się, że za czas 42 lat niewol w Rosji musi sobie popić, gdyż dużo na życiu mu nie zależy”.

Był bez żadnych dokumentów. Z ulga, pospiesznie, w niespełna pół godziny wydano mu dowód osobisty. Kiedy do wypełnionego interesantami Urzędu Stanu Cywilnego wszedł, aby otrzymać metrykę, a towarzyszyła mu przy tym żona, brat i siostra zawołał:

— Przepuście inwalidę wojennego 42 lata wojowałem... Rozstąpił się ludzle szmer szacunku i uszanowania towarzyszył

każdemu jego krokowi. To przecież on — jak opowiadał — był siedem razy ranny podczas zdobywania Berlina, to on w sztolniach kopalni żył z wyrobu figurki z chleba. W Prezydium MRN wydano mu 150 złotych zapomogi repatriacyjnej, choć nie mógł się okazać nawet najdrobniejszym świstkiem papieru.

— Jak ptaka mnie stamtąd wypuścili! — opowiadał.

Iluż ludziom było na rękę wierzyć podobnym słowom?

To wcale nie takie trudne stać się człowiekiem, którego nie widziano od przeszło czterdziestu lat. Młodzi nie mają prawa pamiętać, w pamięci starszych obraz z tamtych lat pozostaje zamglony; w gruncie rzeczy nikt nie pamięta i jednocześnie nikt nie chce się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Porównajmy zeznania rodziny Idaczyków. Oto co zeznał brat zaginionego, Maciej Idaczyk:

„...gdy wszedłem do mieszkania, zobaczyłem obcego człowieka. Ponieważ już uprzedzono mnie, że mój brat powrócił z niewoli, domyśliłem się, że to właśnie mój brat. Zapytałem: „To ty, Ignac?” „To ja” — odpowiedział.

I w tym dniu nie rozmawiałem z nim więcej, bo był zmęczony drogą. Rysów twarzy nie rozpoznałem nie był jednak podobny do mojego brata, ale przecież od tamtych dni minęło czterdzieści lat, ja mogłem zapomnieć, a on mógł się zmienić, miał przecież podobno ciężkie życie...

Następnego dnia znowu poszedłem do swej szwagierki Idaczykowej. Ale Ignac powiedział, żeby go o nic nie pytać, że w niewoli osłabła mu pamięć, bo przeżył straszne rzeczy, był kilkakrotnie kontuzjowany, że nie od nas nie chce, tylko żeby mu dać spokoi-

nie umrzeć w rodzinnej ziemi. Więc go o nic nie pytałem

Za trzecim razem, a było to już po kilku dniach, przeprowadziłem próbę, aby się upewnić, czy to na pewno Ignac. Poszliśmy na spacer po Wieluniu. Wskazał mi miejsce, gdzie w dzieciństwie graliśmy w piłkę, pokazał dom, w którym zęgnął się z nami, gdy odchodził do wojska. Następnie zaprowadził nas — a szliśmy za nim o kilka kroków — do domu, w którym mieszkał nasz ojciec. Aż dziw mnie brał, że prowadził nas tak pewnie, jakby to było wczoraj... Ale wówczas ostatecznie uwierzyłem, że jest moim bratem”

Zeznanie siostry I. Idaczyka, Janiny Stepińskiej:

„...Kiedy brata mego, Ignacego zabrano do wojska, byłam bardzo małeńka i nie pamiętam go dokładnie. Tego, który się zjawił zapytałam: gdzie się ze mną pożegnał odchodząc na wojnę? Pokazał dom, miejsce. Wtedy uwierzyłam”.

Uwierzyli najbliżsi, o powrocie Idaczyka napisała gazeta. Uwierzyło więc i całe miasteczko.

Niektórzy powiadają, że gdyby Idaczyk nie zjawił się sam, to by go do Wielunia sprowadzono, to by go wymyślono.

Czy nie na rękę był pewnym ludziom człowiek, ba, naoczny „świadek” działalności „bezbożników” i „Antychrysta”? Człowiek, który z powodu podeszłego wieku mógł „prawdy” swoje głośić zupełnie bezkarnie?

Jest przecież coś bardzo zastanawiającego w fakcie, że ten „zmarłychwstańca” tak szybko „przypomniał” sobie wszystkie szczegóły ze swej młodości? Jakże pewnie, bez cienia wątpliwości i najmniejszej omyłki zaprowadził krewnych z miasto i wskazał, gdzie jest jego pole... A przecież jest więcej niż pewne, że prawdziwy Idaczyk popełniłby w tym względzie niejedną omyłkę, zmienił się bowiem krajobraz, zbudowano szosę, gdzie indziej rosła drzewa, inaczej biegła miedza...

Trzeba było naprawdę dużo złości, aby uwierzyć w to „zmarłychwstanie”. Ignacy Idaczyk był szwecem. Ten, który powrócił, nie miał o szwectwie najmniejszego pojęcia, Ignacy Idaczyk poszedł

do carskiego wojska. Ten, który powrócił i opowiadał o swym 40-letnim pobycie w Rosji, nie umiał ani słowa... po rosyjsku.

A jednak uwierzono. Bo na rękę było wierzyć opowiadaniu „zmarłychwstańca”, że tam, gdzie przebywał, na Kameczatce... są sami Polacy. Więc jakże się mogli nauczyć po rosyjsku?

Nie zrodziła się wątpliwość, gdy u reagenta sprzedał ziemię swej żony. Sprzedał ją Antoniemu Modrzejewskiemu za sumę 12 tys. złotych (6 tys. gotówką, 6 tys. w ratach), a ziemia ta warta była 30—40 tysięcy. W zeznaniach Modrzejewskiego wyczytać można, że ziemią Idaczykowej opiekował się od dawna traktował tę ziemię jak swoją własność do tego stopnia, że obsadził ją drzewkami owocowymi. Dzięki powrotowi Ignacego Idaczyka stał się prawnym posiadaczem tej ziemi, i drzewek, które zasadził.

Idaczyk odszedł. Zeszedł z areny miasteczka, a były to znowu chwile „wielkich dni” Wielunia. Odszedł, gdy jeszcze raz uważnie i do końca przeczytano zawiadomienie wysłane przez Komendę MO w Sieradzu:

„W dniu 4. I. 56 roku z Dому dla Dorosłych w Witowie zbiegł w nieznanym kierunku włóczęga... Podejrzany jest o oszustwa polegające na tym, że chodzi po wioskach i miasteczkach, usiłując nawiązać kontakt z zaginionymi w czasie działań wojennych i pod nazwiskiem zaginionego podaje się za członka rodziny...”

Powędrował do więzienia. Lecz, o dziwo, aktów prawnych, których nieprawnie dokonał — nie unieważniono, pozostała one wciąż w mocy. I to jest główny przyczynek do wielunijskiej maskarady Ignacego Idaczyka.

Idaczyka? To była tylko jedna z jego twarzy. Miał ich dwadzieścia i czternaście nazwisk. O tym jednak w następnym i już ostatnim reportażu.

ZBIGNIEW NOWICKI

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”.
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 56. Tel. 744-79.
Redakcja nie zamawia i nie zwraca rękopisów.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł kwartalnie 12 zł.
Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch”,
Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 9-579 z oznaczeniem „na „Odgłosy”,
Druk „Prasa”, Łódź, Zwirki 17, Zam. 728. N. 35.000. III. 56. M-4

str.
5

odgłosy



Janina Kulczycka w swoim mieszkaniu w Moskwie.

Wileńskie wspomnienia

W 1937 roku odwiedził Polskę Szalapin. Koncertował tylko w Warszawie, Poznaniu i Wilnie, o które zawadził z sentymentu do starego przyjaciela z petersburskich jeszcze czasów Aleksandra Wileńskiego, wówczas kierownika muzycznego teatru „Lutnia”. Było to ich ostatnie spotkanie. Szalapin zmarł niedługo potem, a Wileńskiego zastrzeliło Gestapo na dworcu wileńskim w czasie okupacji.

Występ Szalapina był wielką sensacją w wileńskim światku muzycznym i niemuzycznym, przepojonym sentymentem do kultury rosyjskiej. Nic dziwnego więc, że wśród entuzjastów światowej sławy basa znalazła się primadonna „Lutni”, Kulczycka, dość obcesowo adorująca wielkiego gościa. Dla jego koncertu poświęca przedstawienie w „Lutni”, gdzie wypełniona po brzegi sala daremnie czekała na ukazanie się divy. Przedstawienie odwołano, a publiczność wybaczyła swojej ulubienicy ten nietakt. Zresztą ten i wiele innych uszło jej płazem, a to z powodu powszechnej sympatii i ekscentryczności, którą urozmaicała życie kresowej metropolii.

Przy jakiejś tam okazji przyszedł kiedyś z Warszawy werdykt zawierający Kulczycką w prawach aktora na przeciąg 4 lat, ale Warszawa była daleko, a publiczność żądała Kulczyckiej i werdykt ów rychło poszedł w zapomnienie. Bawiła więc dalej ze sceny „Lutni” publiczność wileńską i podwileńską przy codziennych kompletach na sali, bawiła jako „Piękna Helena”, „Czardaszką”, „Rose Marie”, Marlin z „Balu w Savoy’u”, kto by tam zresztą wyliczył wszystkie jej wcielenia sceniczne! Dość powiedzieć, że znakomicie dysponowana głosowo przeszła cały niemal repertuar operetkowy od klasycznego do najnowszego i nie było afisza bez jej nazwiska na czołowym miejscu. Zainteresowanie miasta nie ograniczało się wyłącznie do przedstawień. Chciwie łowiono wszystkie ploteczki ze świata aktorskiego, szczerzego co prawda liczącznie, lecz o wysokim poziomie artystycznym. Dowiedziano się tedy o zakulisowej rywalizacji Kulczyckiej i Halmirskiej o palne pierwszeństwa na scenie

„Lutni”. Tak czy owak prymat Kulczyckiej był w oczach bywalców teatru bezsporny, a popularność niezachwiana.

Bazarewski pisze w „Kierunkach”: „Tu działał najlepszy bodaj przed wojną w Polsce teatr operetki „Lutnia”. Skoro powiedziałem o operetce, nie mogę nie powiedzieć o czołowej divie tego przybytku pani Janinie Kulczyckiej, pięknej kobiecie i trochę wariatce, która potrafiła preparadować pewnego dnia dziewiętnasto-wieczną karetą zaprzężoną w czwórki koni...”

W bodaj 1940 roku Kulczycka opuszcza Wilno udając się wraz z mężem swoim, radzieckim komisarzem Klimowem, na Wschód. Wyjeżdża w pełnym rozkwicie urody i wielkiego talentu śpiewaczego. I nie jest prawdą co pisze Bazarewski na łamach „Kierunków”, że nikt o niej więcej nie słyszał. Sprawa chyba wygląda jak w anegdotce o Mickiewicz, gdy zapytana kiedyś o niego bardzo leciwa sąsiadka z Nowogródka odpowiedziała, że biegła tu kiedyś Adaś, ale potem wyjechał z rodzicami i słuch po nim zaginął.

Kulczycka występowała w Związku Radzieckim na wszystkich większych scenach i estradach wiążąc z moskiewską Salą Kolumnową Zw. Zaw. Występowała wespół z innymi sławami m. in. Rajkinem. Oczywiście występuje i dziś, należy przecie do czołowych artystów ogólnozwiązkowego towarzystwa estradowego i nadal dysponuje pięknym głosem urzekającym jak dawniej. Ten właśnie głos w czasie moskiewskiej wizyty wprawił w zachwyty Ludwika Sempolińskiego i niżej podpisanego.

Odwiedziłem w lecie ub. roku w Moskwie „Polską artystkę”, jak ją nazywają sąsiedzi, w jej domu przy Furmannym Piereulku 15. Przyjęła mnie w małym pokójku zawieszonym fotosami i wielojęzycznymi afiszami. Pokój ten, jak się dowiedziałem, stanowi jej całe mieszkanie. Przywiozłem pozdrowienia przynajmniej dla połowy Polski, a specjalnie serdeczne dla zespołu łódzkiego Teatru Muzycznego czyli dawnej „Lutni”. Nie byłoby chyba źle, gdyby liczni, pamiętający Kulczycką wielbiciele jej głosu, urody i talentu, mogli ujrzeć ją jak najszybciej na scenie w kraju. Jest to tym bardziej możliwe, że wymiana artystów ze Związkiem Radzieckim jest szeroka, a wizyta Janiny Kulczyckiej sprawiłaby publiczność polskiej szczególną przyjemność.

GERARD PUCIATO

W dniu, w którym niespodziewanie aresztowany został staruszek, podający się za powróconego z niewoli męża Marii Idaczyk — Wieluń, powiatowe miasteczko na krańcu naszego województwa, podzieliło się na dwa obozy.

Jedni skłonni byli widzieć w fakcie aresztowania starego złośliwe intrygi rodziny Idaczyków. Mówili: „Kazali go aresztować, powiedzieli, że to nieprawdziwy Ignac, bo ziemię żony sprzedał”. Drugim — nagle „otworzyli” się oczy. Każde zdarzenie, które dawniej upewniało ich w przekonaniu, że mają do czynienia z prawdziwym Ignacem Idaczykiem, teraz stawało się oskarżeniem, demaskowało go.

Tymczasem podczas dochodzenia prokuratorskiego ten tak niewinnie wyglądający staruszek wyrastał na jakiegoś koszmarnego oszusta. Z całej Polski zjeżdżały do Wielunia oszukane przez niego kobiety, nadsyłano akty licznych spraw sądowych, o zawsze ten sam rodzaj oszustwa — wchodzenie w prawa rodzin w celu osiągnięcia materialnych korzyści.

Idaczyk?... Mimo drobniagowych i długich dochodzeń, nie ustalono jego prawdziwego nazwiska. Oskarżony stwierdził, że sam już nie pamięta, jak się nazywał, pod wieloma bowiem nazwiskami wypadło mu występować. Wieluński akt oskarżenia zaczyna się od słów:

„...Oskarżam Antoniego Witkowskiego, vel Jana Kasiniskiego, vel Olaska, vel Antoniego Kalembę, vel Józefa Adamskiego, vel... Ignacego Idaczyka,

podobno urodzonego w Łodzi, karanego przez:

Sąd Okręgowy w Łodzi w 1925 r., Sąd Okręgowy w Warszawie w 1936 r., Sąd Grodzki w Ostrowie Mazowieckim w 1937 r., Sąd Grodzki w Łomży w 1937 r., Sąd Grodzki w Łomży w 1938 r., Sąd Okręgowy w Piotrkowie w 1946 r., Sąd Okręgowy w Łodzi w 1949 r., Sąd Powiatowy w Łasku w 1953 roku.

Oto jest z grubsza „życiowy” sędziwego staruszka i szlak jego oszustw. Warto wiedzieć, że podczas każdej z wymienionych wyżej rozpraw sądowych, odpowiadał on za co najmniej dziesięć oszustw.

Również i podczas wileńskiej rozprawy wypadło „dziwnemu” staruszkowi odpowiedzieć na raz za kilka przestępstw. Opuściwszy więzienie, gdzie odsiadywał karę za próbę wejścia w prawa rodziny Adamskich z Chechłą koło Pabianic — „w drugiej połowie lipca 1955 r. w Janowcu, pow. Piotrków, w zamiarze wejścia w prawa rodziny Watałów, kłamliwie zapewniał Bolesława Watałę, że jest jego bratem Kazimierzem, zaginionym w czasie działań wojennych w 1920 r.

W dn. 29 lipca 1955 r. w Zelenicynie, pow. Pajęczno, kłamliwie zapewniał ob. Kostrzewę i Stanisławę Dragon, że jest ich ojcem Kazimierzem, zaginionym podczas działań wojennych...”

Niedaleko jest z Sieradza do Wielunia. Osadzony w Domu Star-



Ignacy Idaczyk (falszywy)

CZŁOWIEK o 20 TWARZACH

ców w Witowie, po trzech dniach czmychnął i w styczniu zjawił się w Wieluniu jako Ignacy Idaczyk, otrzymał dowód osobisty, sprzedał ziemię swej żony...

Przykład wileński ukazuje mechanizm dokonywania tego typu oszustwa. Naiwność ludzka nie zna, niestety, granic. Z akt sprawy przytoczę inny fakt, historię próby oszukania rodziny Adamskich z Chechłą:

„...W dniu 4 lipca 53 roku rolnik Leon Zuwald powracał furmanką z targu w Pabianicach i na drodze napotkał staruszką-kalekę. Ten spojrzawszy najpierw na tabliczkę u wozu i zawołał: „Jak się masz Zuwald. Czy podwieziesz mnie do Chechły?”

Zuwald zdziwił się, że staruszek zna jego nazwisko.

„Nie poznajesz mnie?” — oburzył się staruszek. — „To smutne, że małe nie pamiętasz. A powiedz mi, kto z twej wsi w 1920 roku poszedł na wojnę i nie wrócił?”

Zuwald począł wyliczać:

„Nie wrócił Władek Gajzler, Marian Berner, Józef Adamski...”

„Adamskiego pamiętasz?” — przerwał mu staruszek.

„Jakżeby nie. Do szkoły z nim chodziłem.”

„No, a ile on miałby dziś lat?” — zapytał staruszek.

„Ze sześćdziesiąt...”

„A ile miał braci, sióstr, ile ziem?”

Zuwald odpowiada na stawiane mu pytania. Mówi o koligacjach rodzinnych zaginionego, podaje różne szczegóły. Wreszcie staruszek oświadcza Zuwaldowi:

„No tak, rzeczywiście, zgadza się, pamiętasz dobrze Adamskie-

go. Ja też ciebie pamiętam, Zuwald, od razu cię rozpoznałem. Bo widzisz, ja jestem właśnie Adamski. Zaprowadź mnie do mojej siostry...”

Zuwald nie chce wierzyć. Zadaje staruszkowi „chytre” pytania: Ilu Adamski miał braci, sióstr, ile ziem itp. Oczywiście staruszek odpowiada wyczerpująco, dokładnie. Zuwald zaczyna wierzyć, potem prowadzi „zmarłychwstańca” do jego rodziny. Prowadzi jako... Adamskiego, którego rozpoznał...

W Sądzie Najwyższym w Warszawie przeglądałem akta sprawy rzekomego Ignacego Idaczyka. Widziałem powiększone zdjęcia



Ignacy Idaczyk (autentyczny)

rzeczywistego Ignacego Idaczyka zrobione przed 42 laty i zdjęcia staruszka-kaleki. Dokładnie wyrównano na fotografiach wszystkie linie twarzy, ust, nosa, czasyki. I nie, nie się nie zgadza. Zakład Kryminalistyczny KGMO stwierdza kategorycznie: Ignacy Idaczyk i staruszek-kaleka, to dwie zupełnie różne osoby.

Zanim zapadł wyrok na staruszkę, długo i skrupulatnie badali go psychiatrzy w Warszawie. Opis ich badań zawiera kilkadziesiąt stron maszynopisu, a kończy go wniosek:

„Osobnik ten jest zwykłym oszustem. Wykazuje dużo spostrzegawczości; jest spokojny, opanowany, podporządkowany, interesuje się prasą, zachowuje się cząsem w sposób teatralny. Jak wynika z badań oskarżony nie wykazuje objawów choroby psychicznej. Jest psychopatą ze skłonnościami do czynów społecznych”.

„Człowiek o 20 twarzach” otrzymał surowy wyrok — 5 lat więzienia, jako recydywista, nie wykazujący zupełnie skłonności do poprawy. Wyrok surowy, bo w wieku oskarżonego równający się dożywociu.

Nie jest to jednak zbyt wysoka kara, jeśli pomyśli się o staruszcze Marii Idaczyk z Wielunia, której ten oszust zlamiał życie, wniósł w jej starość ogromną tragedię. Jeśli się pomyśli o dziesiątkach oszukanych kobiet, które wykorzystywał tak bezwzględnie, żerując na najsłabniejszych ludzkich uczuciach.

ZBIGNIEW NOWICKI



Janina Kulczycka

odgłosy

str. 8